

Nazywam się Janina Przyszlak, ur. 23 września 1906 r. we Lwowie. Do czwartej klasy szkoły powszechnej chodziłam też we Lwowie. W związku z wybuchem pierwszej wojny światowej wyjechałam do Szwajcarii, ponieważ nie miałam matki, a ojciec był na wojnie i nie miał się kto mną opiekować. Tam byłam przez siedem lat. Maturę zdałam w Polsce. Studiowałam na Uniwersytecie Jana Kazimierza polonistykę i wydział handlu zagranicznego za namową ojca i brata, który miał biuro przeładunków morskich w Gdyni. W 1930 r. wyszłam za mąż i mieszkałam w Warszawie.

7 września 1939 r. o godz. 9 przyjechałam do Lwowa i udałam się do ojca. Ze względu na to, że żydowscy studenci źle odnosili się do ojca, powiedział mi, żebym znalazła gdzie indziej lokum. Zatrzymałam się w Kasynie Oficerskim przy ulicy Jabłonowskich i tam byłam do czasu wkroczenia Sowieców.

Zanim wkroczyli Rosjanie do Lwowa zostały otwarte magazyny. Wydawano żywność, papierosy, między innymi ja dostałam boczek i mąkę, Polacy nie chcieli zostawiać im pełnych magazynów, ale i tak dosyć im się dostało. Sowieci wprowadzili chaos i zamieszanie. Polacy skonsternowani i zdziwieni byli, że ludzie bądź co bądź mogą się jeszcze w ten sposób zachowywać, jak ci Rosjanie.

Mieszkałam w tym kasynie. Naprzeciw stał motocykl z przyczepą, to chyba z dwudziestu do niego zaglądało, co tam jest i czy przypadkiem nie ma w nim bomby. W ten sam dzień, kiedy wkroczyli, wydali rozkaz, żeby oficerowie zameldowali się w komendzie garnizonu, a oficerowie i podoficerowie policji w gmachu komendy policji przy ulicy Sapiehy. Oficer, z którym rozmawiałam mówił jak wychodził, że najwyżej dwie godziny

i przyjdzie na obiad. Ale wyszeregowali ich wszystkich i od razu zamknęli. Gdy mieszkałam w Kasynie, to mieszkała ze mną żona komendanta 6 pułku lotniczego, pani Praussowa. Jak wkroczyli Sowieci, to ona poszła do swojego domu. Poszłam i ja, i pani Groszewska, i jeszcze jedna pani. Byłyśmy tam może dzień i w nocy przyszli Sowieci i powiedzieli, że ma wziąć ręczny bagaż. Za nimi weszła kobieta i powiedziała: Co, to jest ręczny bagaż? Absolutnie. I pozwoliła wziąć tylko jedną małą walizeczkę, a resztę musiała pozostawić. Pani Praussowa od tego czasu zamieszkiwała u jakiejś swojej znajomej. Na drugi czy trzeci dzień otrzymałam wiadomość, że będą prowadzić naszych wojskowych przez ul. Legionów. To było 26 lub 27 września. Prowadzili ich do więzienia na Zamarstynowie. Wzdłuż ulicy zebrała się grupa rodzin wojskowych, między innymi ja z córką, bo nie wiedziałam, co się dzieje z mężem, a był przecież wojskowym zawodowym. W pierwszym szeregu idzie pułkownik Prauss, zerwane epolety, w płaszczu i skarpetkach czarnych, podartych i bosymi stopami stąpa po bruku. Nie widać było, żeby był bity. Tak około 40 oficerów, wszystkich w wieku od 35 do 50 lat, zostało zamkniętych w więzieniu. Przy komendzie policji zbierali się oficerowie policji i pewną osobną grupę popędzono i pod Lwowem w Sądowej Wiszni zostali tak zmasakrowani, że nie doliczono się trupów. Komuniści wiedzieli, kto ich prześladował, więc nie pędzili ich dalej, tylko na miejscu załatwili "te sprawy". Rodziny dowiedziały się, gdzie są zamordowani i po strzępach ubrań rozpoznawały swoich, zabierali resztki i chowali. Zginął też ojciec córki koleżanki, komendant policji w Mostach Wielkich, Balcer. A jak Niemcy Lwów zdobyli, otworzyli więzienie na Brygidkach; więźniowie tak byli sprasowani w celach, że z głodu jeden drugiemu ramio-

na obgryzał. Między innymi był tam Dulak, policjant, przodownik ze Lwowa.

My w międzyczasie często chodziłyśmy do Pasażu Mikolasza, który był punktem zbornym dla tych wszystkich, którzy uciekli do Lwowa. Sprzedawali tam, kto co mógł, żeby zdobyć pieniądze na życie. Później unieważnili pieniądze, na przełomie października i listopada, to była tragedia, ludzie szaleli. Pojechali rano do pracy pociągiem i nie mieli za co wrócić, bo już nie przyjmowano złotych, a oni jeszcze nie mieli rubli.

Na następny dzień, jak przechodził pułkownik Prauss, jechały ciężarówki. Oni byli skuci łańcuchami długimi, takż że mieli ręce oplątane i nogi, a siedzieli jeden przy drugim po około 20 na ciężarówce. Zobaczyłam tam kolegę męża, Majewskiego, sierżanta szefa administracyjnego 65 eskadry. Nazywaliśmy go "Dziobak".

Żydzi zbudowali łuk triumfalny na alei Krakowskiej z desek świeżo heblowanych, czerwone chorągwie naokoło, w środku półokrągły transparent: Witamy naszych wybawicieli. Były transparenty przez ulicę: Witamy niezwyciężoną Armię Czerwoną. A między teatrem a pomnikiem Sobieskiego na Wałach Hetmańskich z masy papierowej postawili pomnik Stalina i nastawiali naokoło pełno kwiatów. Dla człowieka tam urodzonego, wychowanego, który spędził tam najpiękniejszą część życia, to było tragiczne i nie do zniesienia. Sowieci niszczyli lub wywozili od razu statuetki Matki Boskiej, a nawet ... miejską fontannę. Przedstawiała motyw roślinny.

Rosjanki we Lwowie "ładnie" się ubierały w sklepie Solteo: buciki, sztylpy, bo nie miały rajstop i, parodia, koszule nocne. Przyszedł brat do mnie i mówi: Choć, pójdziemy do teatru. Ja na to: Co ci odbiło i na co? Na "Moralność pani Dulskiej".

Długo się opierałam, ale w końcu poszłam. I na własne oczy widziałam, jak te crepe saute na tej grubej bieliźnie się opinało, a one jeszcze tę koszulę nocną, i dumne jak pawie.

22 października były tzw. wybory. Była to okropna rzecz. Wszyscy szli, bo każdy się bał, były listy i skrupulatnie spisywali, kto był i kto głosował. Będąc wnuczką powstańca z 1864 r. nie mogłam na to wszystko patrzeć. Żeby stać spokojnie, bardzo dużo nerwów mnie to kosztowało. Takie zdarzenie: podchodzi do mnie Żydówka i pyta się: A towarzyszka gdzie? i tam o coś mnie pyta. Ja patrzę na nią, pierwszy raz się spotkałam z tym słowem "towarzyszka" i mówię jej: Nie przypominam sobie, żeby mi pani gdzieś towarzyszyła, a teraz proszę się odzepić, nie chcę w ogóle z panią rozmawiać. Na tym głosowaniu dali mi kartkę, a miałam przy sobie czerwony ołówek i przekreśliłam na krzyż tę kartkę i napisałam: Precz. Tak bardzo się bałam, że gdy szłam do urny, to aż się spociłam.

Ja czekałam, myślałam, że może mąż wróci, lecz później ojciec utorował mi drogę przejścia przez granicę, przez Mosty Wielkie. Do Mostów Wielkich miałam dojechać, a później 20 kilometrów polnymi drogami dojechać do jakiejś wsi i tam można było przejść do rzeki i przez rzekę. Kuzyn mój był Ormianinem, poszłam więc do niego, żeby się umówić w sprawie wyjazdu. Służąca mówi, że poszedł na pasterkę. Bardzo mi się ten zwyczaj u Ormian podobał. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia wyjechałam z córką, która miała ponad 10 lat. Miałam jechać z kuzynem, inżynierem, ale on bał się jechać, żeby go nie wzięli za szpiega. Jak przyjechałam do Mostów Wielkich, niko go tam nie znałam. Ludzie byli bardzo wystraszeni, bo dzień wcześniej była obława. Miałam szukać jakiegoś Żyda, Szurina.



Nikt tego Żyda nie znał, bo on też był przesiedlony, ale ktoś mi pokazał takiego jednego, więc podeszłam i to był on. Naturalnie zaprowadził mnie do jakiegoś domu, weszłam tam i miałam przenocować, zaś rano jechać w dalszą podróż. Jak weszłam, to zobaczyłam. Oczom moim przedstawił się taki widok: dwa łóżka, czysta słoma, bez żadnych okryć. My zmarznięte i Żydówka mówi do ojca, żeby dał ten garnuszek. Ja pytam: Po co pani zabiera ojcu garnuszek? Ona odpowiada: To nie szkodzi, on już długo moczy w nim obierający palec, ja go opłukam i zrobię pani herbaty. Ja jej podziękowałam. Zapytałam, kto tu mieszka, bo dom był bardzo przyzwoity i ci Żydzi nie mogli tu mieszkać. Okazało się, że tu mieszkał naczelnik stacji., posłałam więc córkę z prośbą o przyjęcie. Nie chcieli nas specjalnie przyjmować, dopiero opowiadam, że miałam jechać z kuzynem, kuzyn się spóźnił, nie wiem co się stało, czy nie został aresztowany. Więc ten pan mówi: Niech pani idzie, bo właśnie przyjechał autobus. Poszłam i na tym placu spotkałam kuzyna. Poszliśmy do domu i okazało się, że pan naczelnik kolei znał inżyniera kolejarza, wtedy bardzo serdecznie nas przyjęli, a następnego dnia odwieźli nas do tej wsi, przy trzydziestostopniowym mrozie czystym polem. Zmarzliśmy w okropny sposób. Do tej chałupy weszliśmy, gdzie miałyśmy się zatrzymać i nocą miałyśmy przejść granicę. To było 29 grudnia 1939 r. Wtedy zdjęłam trzewiczki z nóg dziecka, rozcieram zmarznięte stopy, i od razu słyszę walenie do drzwi. Weszło 3-4 obdartych ze szpi- kulcami na karabinach i pytają, skąd przyjechałyśmy i co my za jedne. Ja odpowiedziałam, że bombardowany był Lwów, córka wygłodzona, po piwnicach siedzieliśmy i przyjechałyśmy tutaj do siostry, żeby ją tutaj świeżym mlekiem dożywić i żeby wy- poczęła. Oni pytają, czy ja wiem, że tutaj jest granica.

Ja powiadam, że tutaj mieszkałam, ale tutaj nigdy granicy nie było, więc skąd ja to miałam wiedzieć. Później mówię do takiego malca: Poznajesz ciocię?, a dziecko przecież pierwszy raz w życiu mnie widziało, lecz po dłuższych naleganiach powiedziało, że tak. Ja w końcu udałam, że mi na tym nie zależy, i powiedziałam, że jak nie, to nie. To my w takim razie wracamy z porotem. A oni mówią, żebyśmy zostały do jutra i jutro jechały. Spędziłyśmy noc bardzo niespokojnie, bo stale nam mówili, że dom jest obstawiony, słyszałyśmy poszczególne strzały. Na następny dzień gospodarze dali nam sanie i skierowaliśmy się niby na Lwów, a później pod lasem skręciliśmy w lewo, a zdrugiej strony na koniach przyjechali Sowieci i wtedy od razu do mnie bardzo niecenzuralnie się odnieśli, bom ja "brechała" najwięcej. Oni jechali na koniach, a ja z dziesięcioletnim dzieckiem szłam obok nich. Zapadaliśmy się w śniegu po pas, i jeszcze zrobiła się taka szyba na śniegu i tak bardzo kaleczyła nam nogi. Poprowadzili nas niedaleko tego domu, gdzie nocowaliśmy, zamknęli nas w kurniku i przesiedzieliśmy tam około 10 dni. Jeden ze starszych Sowietów przynosił dla małej dwa razy dziennie ciepłą zupę.

Zaczęłam odciągać deskę, taką słabiej przybitą. Nad tą deską kilka dni pracowałam, bo musiałam nasłuchiwać, czy ktoś nie nadchodzi. I wreszcie ją wyrwałam. Powiedziałam do kuzyna, żeby wyszedł i pomógł mi dziecko wziąć. Powiedziałam mu, żeby nie uciekł sam, bo w takim przypadku każdy swoje życie ratuje i nie wiadomo, co mu przyjdzie do głowy. No i tak wyszliśmy. Szliśmy bardzo długo i bardzo daleko. Było bardzo zimno. Córka powiedziała: Mamusiu, ja już nie dam rady. Zostaw mnie. Sugerowałam jej: (Popatrz tam, już światełko jest; chociaż ja sama nic nie widziałam, ale wierzyłam. Nagle patrzę,

nie ma kuzyna, co szedł przede mną. Co się okazało: to była wymarzona rzeka, co była granicą niemiecko-sowiecką i on wpadł właśnie w przerębę. Oparł się na plecaku, a ja miałam mocny, nowy pasek, którym miałam futro przewiązane, więc najpierw dziecko przeprowadziłam na drugą stronę, zaś później przewiązałam sobie rękę paskiem i drugi koniec rzuciłam jemu i wyciągnęłam go stamtąd. Widok straszny, bo momentalnie to wszystko na nim było zamrożone. A ja słyszę, że coś tak sapie. Boże, myślę, co to może być, a tu za nami przyszedł pies, tak że Sowiety były całkiem niedaleko. A że ja lubię psy i ja-koś te psy dobrze się do mnie odnoszą, to się zatrzymałam, stanęłam, cały swój słownik rosyjski, jaki miałam, powiedzia-łam. A może on był tak wyszkolony, że rzucał się na uciekają-cych? On tak patrzy z daleka, strzyże uszami i w końcu zaczął się mnie bać. I ja ten pasek mu założyłam na szyję i zaciąg-nęłam. Mówię do kuzyna: Ty mi pomóż tego psa prowadzić. Mało tego psa nie udusiliśmy. Idąc znowu kawał drogi (mała płaka-ła, że już nie może), ja mówię: Aluniu, już jesteśmy blisko domu. Jeszcze się zmobilizuj, jeszcze kawałek. No i patrzę, idzie pięciu ludzi. No i pytanie: Niemcy czy Sowietci? Pierw-sze słowa ich były: Wieviel haben Sie Geld? A mój kuzyn miał sporą sumkę pieniędzy. Wtedy przeszukali nas, mnie zabrali 60 ze 120 złotych, jakie miałam, zaś kuzynowi wszystko, to znaczy 35 tysięcy złotych. Na stronie niemieckiej opatrzyli moje rany (bo w tym kurniku nahajką tak mnie strasznie zbili, że skórę miałam poprzecinaną) i zasnęłam. Rano mieliśmy do-stać przepustki, żebyśmy mogły dalej jechać i tak dojechałam do Warszawy. W Warszawie miałam okradzione całe mieszkanie. Sąsiad, razem ze służącą, co pracowała u nas osiem lat, nas okradli. Zostały gołe ściany.

Mój brat, major lekarz neurochirurg Paweł Bilczyński, który we wrześniu 1939 r. pracował w Szpitalu Ujazdowskim, został tam ciężko ranny. Zginął w Dachau w czerwcu 1940 r. Wydał go były ogrodnik, który pracował u mojego brata w jego majątku pod Poznaniem.

Później się dowiedziałam, że mój mąż, sierżant lotnictwa przedostał się do Anglii i tam służył całą wojnę. Moja córka zginęła w Powstaniu Warszawskim, w którym brała udział jako łączniczka.